



Anatol Krzyżanowski

Pasierby



NEXTO - KLASYKA LITERATURY

Przedmowa

Czasy dla rolników są złe, nietylko u nas, ale i wszędzie. Prócz tego, życie obywatela wiejskiego i jego rodziny jest poniekąd kołem błędnym, z którego często niema innego wyjścia jak przez ruinę.

Rzecz to prosta. Jeśli obywatel wiejski ma sześcioro dzieci, dzieci owe, przywykły do pewnej stopy życia, pragną utrzymać ją i nadal, a tymczasem każde z nich ma tylko szóstą część ojcowskiego majątku. I oto już wrota otwarte na rozcież do katastrofy. Żyje się prawdzie na wsi oszczędnie i pilnuje się każdego grosza daleko troskliwiej, niż to sobie wyobrażają ludzie w miastach, niemniej jednak siła rzeczy prowadzi do upadku. Dodajmy do tego ogólne obdłużenie majątków, klęski elementarne, brak obrotowego kapitału, zmienność cen, często niedostateczną znajomość zawodu, wszelego rodzaju słabości ludzkie, czasem fantastyczną, opartą na złudzeniach gospodarkę, a ujrzymy jasno, że każdego roku pewna ilość rodzin wiejskich musi wyjść z ziemi i znaleźć się na bruku.

Jest to konieczność nieunikniona, leżąca w naturze rzeczy, a przytem straszna. W mieście myślą o różnych kwestjach filantropijnych, ale dla rodzin wiejskich, rzuconych na bruk, niemasz żadnej obmyślanej opieki. Tymczasem los ich bywa niemal zawsze cięższy, niż każdy inny. Bankructwa wiejskie, o ile są nieubłagane, o tyle powolne i nie przychodzą nigdy tak szybko, jak miejskie. Poprzedzają je zwykle całe lata tak zwanych interesów, lataniny, pożyczek, przedłużanych terminów i wszelkiego rodzaju wykrętów, wśród których ojciec rodziny traci zdrowie i wykrzywia charakter, matka zaś, po wielu chwilach cichego bohaterstwa, staje się istotą zbolalą i niedołężną.

Obojgu pozostaje tylko myśl o śmierci i nieustanna ciężka troska o dzieci, przed którymi stoi otworem miasto i nędza. Synowie takich rodzin na bruku dadzą sobie jeszcze jakoś rady. Chodzą do szkół i uniwersytetów. Ci, którzy, dla braku środków lub zdolności, nie wykształcą się, pójdą do rzemiosła do kantorów, lub na ekonomów na wieś. Wielu zapewne upadnie, wielu wyjdzie na urwisów, wielu zginie moralnie i fizycznie. Ale będą i tacy, którzy wypłyną, jako kupcy, jako urzędnicy, jako dziennikarze jako mechanicy, lekarze, adwokaci. Ci będą tęgimi ludźmi, społecznie niezmiernie nawet pożądanymi. Przez nich to spotęguje się tak

zwany stan trzeci. Ci zapełnią społeczną lukę, prywatnie zaś odbudują majątki i staną się opatrznością własnych rodzin. To się dzieje. Na to się co dzień patrzy i największy pesymista nie może temu zaprzeczyć. Dość byłoby przejrzeć osobiste, papiery wielu słynnych lekarzy tęgich adwokatów, a nawet i kupców, by znaleźć w nich nietylko herby, o które w tej chwili nie chodzi ale i jakąś Wolę, lub Wólkę, którą za życia ojca lub dziada „licho wzięło.” W tak zwanej inteligencji miejskiej jest najmniej połowa synów szlacheckich którzy zawodowe miejskie obowiązki spełniają nie gorzej od urodzonych mieszczan.

Ale chodzi również o córki i tu zaczyna się prawdziwa tragedia. Zwykle ostatni grosz na wsi oddaje się na wychowanie chłopców. Dziewcząt często niema za co kształcić, nie mówiąc o tem, że istnieje słuszne pod pewnym względem uprzedzenie przeciw pensjonatom dla panien. Z tych powodów, córki średnich właścicieli wiejskich otrzymują najpowszechniej tak zwane wychowanie domowe. Polega ono najczęściej na tem, że jakaś tania nauczycielka, Francuska lub Polka, uczy je trochę języków, trochę muzyki, a reszty dopełnia matka, która wkłada zarazem dziewczęta do gospodarstwa domowego. Czy to jest mało? Zależy, jak do jakiego życia. Książka ma daleko większy powab dla dziewcząt niż dla chłopców. Panienki wiejskie czytają dużo, jakkolwiek bezładnie i bez wyboru. Czytają nawet nieraz takie rzeczy, których nie powinny czytać, rzadko jednak psują się niemi. Jak pszczoła nie bierze z kwiatu trucizn, tylko pyły jej potrzebne, tak te natury zdrowe, a w wysokim stopniu idealne, wyciągają z książek pierwiastki tylko najlepsze. Psują się czytaniem książek bardziej męzkatki. Dziewczyna wiejska wyrabia w sobie, przeważnie przez czytanie, tylko duszę delikatną, wrażliwą, pełną czci dla duchowego świata sztuki i wiedzy, pełną poczuć społecznych obowiązków, słowem taką, która nie pozwoli jej być tylko lalką, lub tylko kucharką i gospodynią, a pozwoli jej być dobrą żoną i matką, zdolną przekazać dzieciom szlachetniejsze strony ludzkiej natury.

Córka wiejskiego obywatela jest zatem dość rozwiniętą, dość wykształconą i dość uzdolnioną na to by po wyjściu za mąż spełnić wszystkie obowiązki nietylko prywatne, ale i społeczne. Ale gdy natomiast los rzuci rodzinę na bruk i gdy chodzi o zarobkowanie, o samodzielne zdobycie kawałka chleba, ta sama dziewczyna staje się bezradną i bezbronną. Wychowała się na „panienkę”. Przyzwyczajenia ! rodzinne, położenie społeczne, miano obywatelskiej córki, które wlecze się za nią, jak kula u nogi, zamykają jej te wszystkie sposoby zarobkowania, których się może chwycić kobieta prosta i bez wychowania. Zamykają się przed nią te drogi nietylko dlatego, żeby nie chciała na nie wejść, ale i dlatego, że jąć się ich nie może, że nie jest do nich uzdolnioną, że jej na to otoczenie nie pozwoli, a wkońcu, że jej nawet nie przyjmą. Przy pracy igłą zamiera się z głodu. Na nauczycielki mniejszy jest u nas popyt niż podaż, a przytem poszukuje się osób z wykształceniem systematycznym, nie zaś dorywczem; bony do dzieci sprowadzą się z zagranicy. Więc co? Należy się zawsze do pewnej sfery, bez możliwości utrzymania się w niej. Obywatel wiejski, który stracił majątek, jest zawsze ex-obywatelem. Córka jego nie pójdzie nietylko dla jakichś szlacheckich much, ale dlatego, że naprawdę nie może, bo jej wychowanie, jej potrzeby umysłowe, jej duchowa natura takiego życia wprost

nie znoszą. Więc gdy się nie trafi mąż, gdy się niema brata, który zostawszy lekarzem, adwokatem lub inżynierem, wyciąga za uszy rodzinę z nędzy, to pozostaje rzeczywiście tylko nędza.

A jaka szkoda takich »pasierbic fortuny!« szkoda nietylko ze względu na ich niedolę, ale i społeczna. Bo trzeba wiedzieć, że te wiejskie dziewczęta, to w znacznej większości i najlepszy materiał, i najszlachetniejszy gatunek kobiet, jaki się w społeczeństwie naszym znajduje. Tam istotnie rzadko trafiają się dusze modniarek, rzadko lalki, rzadko manekiny. Składa się a to wszystko: i wieś, i zdrowa młodość, i tradycja rodzinna, przekazana przez białowłose babki i matki. To są natury najczęściej do szpiku kości pocciwe, przywiązane do rodziny, delikatne, świeże jak polne kwiaty, pełne aspiracji, ciche, cierpliwe, zdolne do poświęceń i odważne. Odważnie też idą na bruk, łudząc się, że zapracują na siebie i rodziców. Później dopiero dochodzą do przekonania, że gotowe są do pracy każdej, dlatego że nie są przygotowane do żadnej i że wskutek tego każda je odpycha, gdy wyciągną ku niej swe delikatne ręce. A wówczas ile bólu, ile łez, gorzkiego wstydu, zawodów, rozczarowań, rozdartych serc i poszarpanych złudzeń! Artyści, w poszukiwaniu wzruszających scen, mogą tu ich znaleźć, ile chcą, pisarze, poszukujący tematów z tendencją, mają gotowe pole. Bo, istotnie, jest to sprawa, którą należy podnieść, jest to niedola, którą warto odczuć, są to ofiary, których jest dużo – i dusze, których naprawdę szkoda.

Brano też nieraz tę niedolę i przerabiano ją na literaturę.

Szlachcic, który traci majątek i osiada na bruku, nie jest literacką nowością. Niedawno, Sygietyński, który jest utalentowanym człowiekiem, ale okrutnym pesymistą, napisał powieść: »Wysadzony z siodła.« Jest to historia obywatela, który wysadzony z majątku, znajduje się wraz z córką na bruku. Oboje spadają coraz niżej po szczeblach drabiny moralnej, aż wkońcu, ona zostaje gamratką, on zaś korzysta z jej zarobków.

Mogło się zdarzyć i tak. Nędza i bruk rozkładają często charakter ludzki do ostatka. Ale nieraz i nieporównanie częściej, losy takich »wysadzonych z siodła« bywają mniej błotniste, a jeszcze tragiczniejsze. I takie właśnie przedstawia powieść Anatola, do której te kilka kartek ma służyć za przedmowę. »Pasierby« to ludzie ze wsi, z którymi los obszedł się po macoszemu. Zamożny z rodu obywatel traci majątek. Traci go przez zbytnią gotowość do usług sąsiedzkich i z powodu zbyt natężonej gospodarki. Jest to człowiek inteligentny, ale nie jest roztropny: głowa nie zrównoważona i fantastyczna. Liczy on na swe pomysły i za dużo wkłada w ziemię, aż wreszcie doprowadza majątek i rodzinę do ruiny. Wówczas matka z córką przenoszą się do miasta, ojciec zaś, chcąc im zapewnić los, ubezpiecza się na życie, a następnie odbiera je sobie, pozorując ten czyn tak, by śmierć wydała się wypadkową.

Lecz nim Towarzystwo wypłaciło cenę krwi, pod dach matki i córki zajrzała nędza. Obie poczęły wyprzedawać i zastawiać ostatnie kosztowne drobiazgi, przechodząc przez wszystkie męki i upokorzenia, przez jakie kobiety przechodzą zwykle w podobnym położeniu. Wkońcu, na domiar nieszczęścia, córka z listu ojca, pisanego przed śmiercią, dowiaduje się, że śmierć ta nie była wypadkową i

jako uczciwa dziewczyna, odsyła list dyrektorowi. Poprzednio jeszcze wróciła słowo narzeczonemu, nie chcąc być w jego życiu kulą u nogi. Nie było przytem takich cierpień, przez któreby nie przeszła, nie było ofiar i bohaterstw, którychby nie spełniła. Lecz wreszcie siły ludzkie mają swe granice i ta wątła istota, ta natura, utkana tylko promieni, nie może wytrzymać naporu niedoli. Ów list ojca i wiadomość, że musiałaby żyć za cenę jego podejścia i cenę krwi, były dla niej ciosem ostatnim. Powieść, idąca dotąd zwykłą koleją opowiadać

O uczuciach i nieszczęściach ludzkich, urasta niespodzianie w okrutny dramat, w którym obłąkana Ofelja deklamuje cichym, monotonnym głosem żałobne wiersze, kończąc je jękiem i łkaniem. Jest dziś rzeczą dość rzadką, by autor miał odwagę tak zakończyć książkę. Ludzie cofają się przed przewidywanym zarzutem melodramatyczności. Anatol nie uląkł się i ta właśnie odwaga podniosła powieść. Maona wprawdzie strony słabsze. Ów bohater opowiadania, młody Zygmunt, jest figurą niedołązną. Ten strzelec, który chodzi na wiosnę ze strzelbą po lesie i mierząc w dzięcioła, trafia w psa, jest zarazem pudłem autora.

Ten deklamator, który pannie, spotkanej po raz: pierwszy w życiu, mówi o boginiach, spacerujących po lesie, będzie miał zawsze wysoki frazes, a lichy czyn. Ona się go wyrzeka, nie chcąc mu być kulą u nogi – i przed nią – zato czołem! Ale on wówczas nie powie jej: »Musisz być moją, boś przyrzekła, musisz, boś jest mojem życiem, musisz, bo każdy kawałek chleba, którym się z tobą nie podzielę, będzie mi trucizną, musisz, bo tak chcę i biorę cię jak moją duszę i moją własność.« Sercu, energii, miłości i rozkazowi, który z nich płynie, zakochana kobieta oprzeć się nie może. Ale on nie zdobył się ni na energję, ni na rozkaz. Trochę protestował, trochę przeciwdziałał, a potem wolał rzucić się na piersi swego opiekuna - stryja i beczyc mu w kamizelkę. Beczał także, gdy mrok ogarnął umysł jego dawnej narzeczonej; a nakoniec- ożenił się z inną. Niedołągów jest niemało na świecie, prawda! Ale nie widzę powodu, by literatura miała ich pasować na rycerzy. To jest błąd. A oprócz tego są w tej powieści i inne. Piszący, szczególnie zaś piszące kobiety, często nie pamiętają, że stylu nie powinno być więcej, niż go potrzeba. W »Pasierbach«, zwłaszcza w początku, jest go za dużo i wogóle za dużo słów, za dużo ozdób, za dużo określeń. Lecz właśnie ten ogrom nieszczęścia, który spada na bezbronne głowy, sprawia, że powieść przerasta zwykłą pospolitą miarę. Widok niedoli niezasłużonej, a olbrzymiej, będzie zawsze wzruszał ludzkie dusze. To wzruszenie autor daje. Czytelnik nie spodziewał się, żeby dramat stał się tak rozdzierający i Owo zdumienie, ów niespodziany ucisk duchowy, pod którym kończy się tę książkę, stanowi jej wartość literacką. Słowa i obrazy, które potrafią wzruszyć, są zawsze utworami rzetelnego talentu, trudno zaś bez ściśnięcia serca czytać, jak ta nieszczęsna dziewczyna deklamuje w obłędzie przy trumnie matki smutne jak łzy i, mówiąc nawiasem, śliczne wiersze współczesnego poety. Wszystko jedno, czy jest w tem ton melodramatyczny, czy go niema, bo czytelnikowi także wszystko jedno, jak się co nazywa, jeśli go to wstrząsa. Kto to potrafi, to już dobrze! Zresztą dramat porywa wkońcu i samego autora, który na ostatnich stronicach staje się prostszym i zapomina o stylu dla rzeczy samej.

Tyle można powiedzieć o literackiej stronie powieści. Ale prócz tego jest w niej kwestja. Ach! istnieją u nas rozmaite zakłady, istnieją rozmaite pomoce: dla nauczycielek, szwaczek, paralityczek, położnic, niema natomiast żadnej zorganizowanej pomocy dla dzieci wiejskich bankrutów, dla »pasierbic fortuny«, dla tych istot, po większej części czystych i prawych, które są kością z kości i krwią z krwi swojskiego żywiołu, a które na bruku miejskim próżno wyciągają ręce do pracy.

Autor daje jednak i radę. Chce on, by wieśniacy dawali swym córkom prócz wychowania, jeszcze i wykształcenie zawodowe. Chmielarki, ogrodniczki, zawodowe mleczarki, pasieczniczki, znalazłyby, wedle Anatola, zawsze kawałek chleba i nie potrzebowałyby iść na bruk, na którym łamią się ciała i dusze.

Kwestja warta zastanowienia – i książka warta czytania.

Henryk Sienkiewicz.

Część I

I.

Na niebie zielonawo-błękitnem, przejrzystem, jak toń niezgłębiona, pierwsze jaśniejsze zapalały się blaski. Dzień, zmartwychwstający z wczorajszego uśpienia, budził się do życia z rozkosznym uśmiechem pogody. Szare też cienie nocy ustępowały kornie przed różowopalcą jutrzeńką, która, ukazawszy się tam, gdzie dotąd błada świeciła zorza, stroiła świat cały w coraz żywsze i coraz bogatsze barwy. Płaszcz jej, najpierw z gazy różowej, a dalej ze złota i purpury tkany, otuliwszy połowę nieboskłonu, odzwierciedlał się blaskiem świetlanym w kroplach rosy, zapalając zaś wśród nich diamentowe iskry, zdawał się poić bogactwem tem spragnione usta traw, drzew i kwiatów które nektar ów ożywczy chciwie spijały. W blaskach nieba i w brylantowym świetle rosy, w purpurze, poprzedzającej złote promienie słońca, w tem przejrzystem a tak czystem powietrzu, iż wszystko nabierało w niem ostrzejszych konturów, ziemia, zmęczona jeszcze wczoraj pracowitem swem życiem, dziś strojna w cechy młodzieńczego uroku, zdawała się zaróżowioną oblubienicą, stojącą z uśmiechem wiary i nadziei wobec zagadki przyszłości, wobec obietnic szczęścia, jakie jej los gotuje. Od jaśniejącej też czarem młodości i ułudy bił porywający urok i wszechpotężny urok wiecznego życia i zmartwychwstania, tchnienie niespożyte natury, która, zrzucawszy kajdany martwoty zimowej, w upojeniu, kwieciami okrywała swe czoło.

Blask jutrzeńki, potężniejąc tymczasem, ogarniał łuną różową wierzchołki drzew, las, szarzejący na widnoskłonie, i błękitną tafłę uśpionego jeziora. Przesuwając się szybko, rzuciwszy aureolę na szczyty a postrach na ciemności, zalegające poniżej, rozkoszny paż boga słońca pocałunkiem swym budził wszystko z uśpienia.

W szuwarach u brzegu wody mewy i kaczki dzikie, kurki, czaple i cała rzesza drobniejszego, wodnego ptactwa poruszyła się na gniazdach. W konarach drzew zaświegotały hałaśliwe wróble, tłumiąc hejnał podniosły, jakim słowik brzask zorzy powitał. Hejnał ten jednak wzniósł się wyżej i zapanował dokoła tam, gdzie klomby, starannie utrzymane, otaczały dwór wykwintny, niewielki, lecz piętrowy, a czystością błyszczący.

Przejrzyste powietrze poranku uwydatniło doskonale zarysy tej eleganckiej, niedawno snąć zbudowanej siedziby; blask zaś wstającej jutrzeńki, skąpawszy ją w promieniach swych, odbijał się w dachu cynkowym i dużych kryształowych szybach pałacyku. Równocześnie, wśród ciszy panującej dokoła, zgrzytnął lekko

klucz i z za uchylonych drzwi frontowych wysunęła się wysmukła postać niewieścia. Zamknawszy starannie za sobą podwoje, stanęła na progu ganku, a olśniona przepychem budzącej się przyrody, zachwycona grą barw na obłokach, zdawała się czarui chwili tej pełną używać piersią.

Wewnątrz domu wszystko jeszcze spało. Ciska też głęboka, uroczysta, ciska rozmodlonej natury otaczała ją zewsząd, a hejnał słowiczy jedyną tu był oznaką życia. Kobieta, w hymn ten zasłuchana, podniosła głowę, śledząc z zachwytem purpurowe, coraz ognistsze a złotem obramowane smugi na obłokach. Złoto owo nabierało w oczach jej barwy gorętszej, aż słoneczna żrenica dnia błysnęła równocześnie pierwszym promieniem, który nieznaną przeczystem oblał światłem.

Uwydatniona w blasku jego postać dziewczęcia niezwykłym zajaśniała urokiem. Młodziutka była, a powab młodości tej porywającym bił od niej czarem. Otulona w jasną bluzę błękitną, spływającą jak grecka szata w prostych fałdach ku ziemi, z wpół sennem rozmarzeniem w przepysznych żrenicach, z podniesioną lekko główką, z której długie, ciemne spływały sploty, z barwnym karminem ust, ożywcze pijących powietrze, i gibkimi zarysami kibici, w tym blasku magicznym powstającego słońca, zdawała się istnym posągiem młodocianej poezji lub zachwycenia. – Ale posąg ten krwią tętnił i życiem, życiem tak potężnym, tak świeżym, iż zdawało się, promieniując dokoła, otaczać ją porywającą aureolą ułudy i powabu, prostoty i piękna. Gorący pocałunek słońca zbudził ją wreszcie z bezwiednego rozmarzenia. Wyprostowała się, a oczy jej głębokie, w szafirze nieba dotąd utkwione, zwróciły się z kolei na wielkiego doga, który podniósłszy się z przed progu, z chwilą wejścia pani, stał przy niej, zadowolony, iż rączkę bezwiednie o kark jego oparła. Żrenice jej spotkały się ze wzrokiem psa, mądrym i poważnym, w niemem oczekiwaniu ku niej wzniesionym. Pochyliła się i pogłaskała go pieszczotliwie.

— Lord czekał tu na panią – mówiła zcicha. – Dobrze, piesku, dobrze; pójdziemy razem użyć ciszy i swobody.

Ujęła suknię jedną rączką, a nie zdejmując drugiej z głowy doga, leciuchno, na palcach, zeszła ze schodów werandy. Przesunawszy się pocichu pod oknami i minawszy klomb główny, zatrzymała się dopiero, obrzucając serdecznym wejrzeniem rodzinne swoje gniazdo.

— Jak tu ładnie – szepnęła. – Jak tu mogło być dobrze...

Westchnęła i odwróciła się szybko.

— Nie, nie będę myślała o tem. Chcę się orzeźwić spokojem, upoić samotnością. To nektar, który wzmacnia najsilniej.

I powietrzem ożywcze zarumieniona, ze żrenicami, błyszczącymi zachwytem a pijącymi czar budzącej się przyrody, szła szybko, bez względu na rosę i powiew od jeziora idący.

Przebiegłszy brzegiem łąkę, zdala w złudny obłok wody spowitą, a zbliżka jaśniejącą żółtymi jaskrami, różowym tysiącznikiem i białym mrzygłodem, zanurzyła się śmiało w łąk zboża, wąską ścieżką przeciętą. Szmaragdowe kłosa pszenicy kwiatem, jak srebrnym pyłkiem, zlekka przesypała, z drugiej strony zaś,

bledsze od nich, szarawe łodygi żyta, rosą zwilżone, chyliły się ku sobie w szepcie cichym. Kobieta szła wśród nich jak królowa tego świata przyrody, miłosnym obejmując go wzrokiem. A w spojrzeniu jej i w całej wysmukłej postaci, pierwszemi blaskami słońca oblanej, znać było, że nie mierzy ona pół tych okiem znawcy, że nie bogactwo ich, nie wartość realna, lecz poezja, głęboko odczuta, rozpromienia piękne jej lica tym wyrazem rozradowania i ukojenia, tą zadumą marzącą, która odrazu część duszy jej malowała.

Zatrzymywała się, wsłuchana w odgłosy budzącej się przyrody, dla innych banalne i niezrozumiałe może. Dla niej jednak poryk pędzonego w oddali bydła, nawoływania przepiórki i brzęk świerszcza, ukrytego przy miedzy, jednoczyły się wraz z szumem i zboża i powiewem wiatru w koncert, pełen podniosłej prostoty. Upajające wreszcie poczucie siły i młodości, swobody i ciszy krew jej żywiej poruszyło w żyłach. Poczula potrzebę ruchu, potrzebę ujawnienia przejmujących ją wrażeń i okazania ich w jakimś wybuchu radosnym. Korzystając też z żywszego skoku doga, pobiegła z nim na wyścigi, jak dziecko wypuszczone na wolność. Trwało to jednak chwilę tylko. Zarumieniona, zatrzymała się niebawem, a tuląc ciemną swą główkę do lśniącej szyi zwierzęcia, mówiła pieszczotliwie:

— Dobry Lord, kochany Lord! Bez Lorda pani bałaby się chodzić tak sama.

W tej chwili weszli na skraj lasu, którego głębia nęciła tajemnym urokiem, pełnym jakichś szeptów niepochwytnych i niezrozumiałych. Dziewczę, świadome snąć drogi, szło śmiało, skąpane w fantastycznych, przez konary padających promieniach słońca, spowite ruchliwym, przez gałęzie rzucanym cieniem, otoczone całym wspaniałym a potężnym czarem, jaki głusza leśna w godzinie tej posiada.

Był to snąć cel jej wycieczki. Doszedłszy bowiem do niedużej polanki, wśród której stał klon wyniosły, osunęła się na pień ścięty u jego podnóża. Opuszczając zaś na drobne nóżki bluzę błękitną, starannie od rosy chronioną, oparła się o konar drzewa i obie rączki nad głowę zarzuciła.

W pozie tej, bezwiednie wdzięcznej i malowniczej, zdawała się eteryczną nimfą leśną, stała a bajeczną dziedzin tych mieszkanką. Pierś jej wszakże falującą czysto ziemskie podniosło westchnienie.

— Ach, jak tu rozkosznie, jak pięknie! – wyszeptała. – Gdy się ma takie królestwo, warto żyć, warto.

Nagle huk głuchy, przeciągły, a równocześnie prawie żaloszny skowyt psa echem przeraźliwym słowa jej przecięły.

Zerwała się z przestrachem i wyprostowana oczy w gąszcz utkwiała. To wycie bolesne nie było jej obce; to głos Lorda, towarzysza jej i opiekuna.

Nie omyliła się. Z rozchylonych gwałtownie krzaków leszczyny, z gąszczu, ciągnącego się po lewej stronie, wypadł w tej chwili dog jej ulubiony i z głośnem wyciem, w ślepym pędzie ku niej się rzucił. Po lśniącej jego sierci, tuż nad okiem, a wzdłuż uszu, krew się toczyła. Zwierzę postrzelone było widocznie.

Na widok ten dziewczę, współczuciem przejęte, skoczyło i uklękawszy, objęło ramieniem ochronnem głowę doga, do własnej tuląc ją piersi.

Złączeni tak razem na tle ciemnej zieleni, przepyszny stanowili obrazek. Ten pies olbrzymi, pręgowaną skórę tygrysa przypominający, i dziewczę, delikatne,

wysmukłe, tulące go ku sobie, tworzyli grupę porywającą wyrazem wdzięku i siły. Podniesione ramiona i przechylenie całej postaci uwydatniały młodzieńcze zarysy jej kibici. Ciemne warkocze spływały wzdłuż szaty błękitnej, ku ziemi prawie, w szafirowych, marzących źrenicach odzwierciedlał się świat cały tkliwości i niepokoju.

Nie było wątpliwości, pies miał ucho przestrelone. Na nowy, żaloszny jego skowyt, krew w żyłach jej zagrała, a oburzenie rumieńcem wybiegło na lica. Kto śmiał to uczynić?

Zerwała się ruchem gwałtownym i wyprostowana powiodła okiem dokoła.

Przytrzymując ręką rozchyłoną gąszcz leszczyny, w miejscu, z którego dog wybiegł, stał winowajca. Torba przez plecy przewieszona i strzelba dzierzona w dłoni wskazywały wyraźnie, że on występku się dopuścił. Oczy zaś, w grupie pokrzywdzonych utkwione, mówiły wyraźniej jeszcze, że nie współczucie dla psa, lecz zachwyt, przez kobietę wzbudzony, oniemiły go i do miejsca przykuły.

W niej, na widok tego zbyt jawnego, śmiałego uwielbienia, oburzenie zawrzało i strumieniem lawy gorącej na mózg uderzyło. „Wyprostowała się; pierś jej falowała gwałtownie, z roziskrzonych źrenic błyskawice dumy tryskały.

— Jak pan śmiałeś? – zawołała. – Jak śmiałeś uczynić coś podobnego?

— Czyż mogłem przeczuć, strzelając, że w lesie tym o wschodzie słońca już spacerują boginie?

Ta zdawkowa galanterja, ten ton banalnego komplementu, żartobliwym pochyleniem głowy uwydatniony, rozgniewał ją silniej jeszcze i głęboko obraził zarazem. Nie przywykła, by ją traktowano w ten sposób, nie przywykła po gościach zbierać grzeczności. Czarne łuki brwi jej ściągnęły się, różowe, delikatne nozdrza zadrżały od hamowanego wzburzenia.

— Jestem u siebie! – rzuciła wyniosłe – a nikt dotąd nie ośmielił się ubliżyć mi tutaj. Jakiem prawem nachodzisz pan to ustronie? Jakiem prawem wkradasz się w cudze granice?

Mężczyzna, tonem tym dotknięty, postąpił żywo naprzód. Stali teraz oko w oko, oboje dumnie wyprostowani, oboje piękni, dorodni, wdziękiem młodości tchnący. Postać jej wysmukła, błękitną szatą ku ziemi spływająca, uosobnieniem była wyniosłości i dumy. Ze źrenic szafirowych piorunna strzelała błyskawica; rysy delikatne, klasyczne, o prostym greckim nosku i przezręczym owalu, fala szkarłatu oblewała; karminowe usteczka rozkazujący cechował wyraz.

On, w obcisły, myśliwski strój przybrany, o postawie wytwornej, a rysach, jakby z szlacheckiego kruszcu wyrzeźbionych, przedstawiał doskonały typ młodości i siły, wychowaniem i pochodzeniem długich pokoleń uszlachetnionej. Na wardze wydatnej, do uśmiechu wesołego skłonnej, ciemny wił się wąsik; w czarnym, ognistym oku obraza za słowa posłyszane i podziw dla tej kobiety, jak jutrzienka uroczej, walczyły naprzemian. Ostatnie uczucie zwyciężyło nareszcie:

— Jakiem prawem nachodzę to ustronie? – powtórzył mężczyzna. – Alboż Bóg nie nato dał wiosnę i wschód słońca, aby się promieniami jego wszyscy zachwycali?

Gorące jego spojrzenie mieszało ją, żaloszne zawycie Lorda, który z bólu rzucił się w tej chwili ku nieznanemu, przypomniało popełniony przez niego występki.

Zawycie zdawało się wyrzutem, że zapomniała o pokrzywdzonym, a pod działaniem wyrzutu tego, pod działaniem dwóch jakichś sprzecznych uczuć, ona, tak spokojna i panująca zwykle nad sobą, podwójnym uniosła się gniewem.

— Nie sędzę, by wschód słońca upoważniał do nachodzenia cudzych pól, a strzelanie do cudzej zwierzyny i cudzych psów stanowiło rycerską zabawkę, godną szanującego się mężczyzny.

— „Cudzych, cudzych, cudzych!” – powtórzył w tej chwili głos gniewny i szorstki. – Nie należy tak słowem tem szafować. Niech panna Zaliwska raczy nie zapominać, że do owego lasu i owych Zaliwiec ja także pewne mam prawo.

Obejrzeni się żywo. W miejscu, gdzie z gąszczu wychylił się przedtem młody człowiek, stał teraz, w ślad snąc za nim tą samą idący ścieżką, mężczyzna średniego wzrostu, barczysty, o szpakowatym wąsie i twarzy, na którą praca czy zgryzoty całą sieć zmarszczek rzuciły.

Dziewczę o krok w tył się cofnęło.

— Prawo do Zaliwiec? – podjęła, patrząc na niego ze zdumieniem.

— No, pewno. Pieniędzy przecież moich nie podaruję. Najlepiej zabrać komuś ostatnią jego krwawicę, a później panoszyć się jeszcze w pałacu i ludzi z góry traktować. Zresztą, pan Zaliwski zgodził się las ten za sumę naszą oddać mi; mam więc prawo chodzić po nim, kiedy mi się podoba.

— Stryju! – przerwał młody człowiek błagalnie. – Stryju! Jak możesz rzeczy podobne mówić kobiecie?

Staremu żal już było słów, w uniesieniu wypowiedzianych.

— Wiem – machnął ręką – że córka za winy rodziców nie odpowiada. Ale czemuż panna Szczęsna

Zaliwska, której ojciec zabrał mi wszystko, com posiadał, bryzga nam dumnie w oczy, że cudze nachodzimy grunta? Czy za tego marnego dzieciola, do którego strzeliłeś niepotrzebnie? Nie będzie on tu miał w co kuć niezadługo...

Szczęsna, blada jak płótno, stała pod tym potokiem słów, które ostrze sztyletu w serce jej zatapiały, milcząca i upokorzona. Nie знаła tego człowieka, lecz nie miała powodu wątpić, że mówi prawdę. Nie on jeden podobne rościł pretensje. W szafirowych jej źrenicach, wpierw rozmarzeniem i zachwytem, później gniewem błyszczących, zajaśniał w tej chwili wyraz, jak śmierć smutny i beznadziejny. Deptano dumę jej, zabierano kąt ten ukochany, uderzono naraz we wszystkie najdroższe jej uczucia. Miody człowiek, wzruszony zmianą w niej zaszłą, a dotknięty boleśnie zachowaniem stryja, dojrzawszy w tej chwili kroplę krwi, jaka z szyi tulącego się do niej ulubieńca spadała” na suknię Szczęsnej, poskoczył z żywą oznaką skruchy i pokory.

— Ależ on jest draśnięty! – zawołał. – Krew, najwyraźniej krew, a ja się tego nie domyślałem nawet.

I teraz on z kolei osunął się na kolana, tuż u stóp jej prawie, opatrując ręką wprawną a troskliwą głowę wspaniałego zwierzęcia.

— Lekkie skaleczenie w ucho; snąc ziarnko śrutu, o sęk się odbiwszy, trafiło go przypadkiem. Mój Boże, nie wiedziałem nawet, jakiego się dopuściłem przewinienia. Czy pani może mi przebaczyć?

I, wciąż klęcząc, podniósł ku niej wzrok błagalny. A zarówno wyraz jego, jak odcień głosu, wskazywały wyraźnie, że nie za ulubieńca, nie za psa, lecz przepraszał ją za zranione uczucia, za przykrość, jakiej stał się bezwiednym dla niej powodem.

Szczęсна nie słyszała go nawet. Oczy jej smutne, w dół utkwione, śledziły myśl nieuchwytną, w głowie brzmiał ciągle frazes: „Najlepiej zabrać komuś ostatnią jego krwawicę, a później panoszyć się jeszcze w pałacu i ludzi z góry traktować.”

Czuł, że duma jej musiała straszny dostać policzek, a nie wiedział, jak ją od myśli tych oderwać, jak wrażenie złagodzić. Stała przed nim bledziutką, niby kwiat podcięty, skamieniała, niby posąg zwątpienia, a on nie mógł dla niej nic, nic zrobić.

Wtedy to młodzieniec postanowił na psa zwrócić całą jej uwagę.

— Pani pozwoli mi opatrzeć go? – zapytał.

I wyjmując z kieszeni chustkę, rozdarł ją szybko na dwoje.

— Warjat! >

mruknął stary szlachcic, a machnąwszy ręką, zapuścił się napowrót w gęstwinę.

Zostali sami. Chrzęst dartego płótna zbudził dziewczę z bolesnej zadumy. Spuściła śliczne, poważne swe oczy, patrząc najpierw bezwiednie, później zaś z zajęciem, na dorodną postać młodzieńca, który klęcząc u stóp jej, z niewieścią nieledwie tkliwością, ocierał skrwawioną szyję i ucho doga. Czynił to tak delikatnie, jak gdyby to szło o dziecko lub istotę ukochaną, tak lekko, jak gdyby tu o nią, o Szczęsną, chodziło, jak gdyby ruchem tym mógł zagoić ranę, przez słowa okrutne sercu jej zadaną.

Wtem pies, którego uraził widać, warknął groźnie.

Głos ten oprzytomnił do reszty Szczęsną. Pochyliła się, głaszcząc białą ręką szyję doga i, chcąc podtrzymać ucho, na które nieznajomy nalewał parę kropli spirytusu z myśliwskiej manierki, przyklęknęła na murawie, po drugiej stronie Lorda.

Zbliżeni tak, iż ręce ich dotykały się nieledwie, mimowoli podnieśli ku sobie oczy; on, z bezwiednem współczuciem i niemą, korną prośbą o przebaczenie, ona, z nieświadomym sobie, wzruszającym wyrzutem. Nie zrobiła im nic złego, oni zaś tak straszną wyrządzili jej przykrość.

Pies szarpnął się w tej chwili boleśnie.

— Cicho, Lord, cicho wierny przyjacielu – zabrzmiał słodki głos dziewczęcia. – Pan nie zrobi ci krzywdy. Krzywdę – dodała ciszej – zwykli ludzie ludziom tylko wyrządzać.

Opatrunek był już skończony. Ona, zamyślona, klęczała ciągle; on, słowami jej dotknięty, pochylił się nagle i do ręki jej, na szyi doga wspartej, gorące przyłożył usta.

Cofnęła się żywo.

W pocałunku tym jednak, kornym i czci pełnym, było tyle prośby serdecznej, iż nie mógł jej obrazić.

— Racz pani zapomnieć o słowach stryja, racz je przebaczyć... Wierzaj, że był to wybuch gniewu, lecz nie drapieżne instynkty zaborczego wierzyciela.

Podnieśli się i stali po raz wtóry dzisiaj oko w oko, z odmiennymi już tylko uczuciami. Na blade lica Szczęsnej fala rumieńca zwolna powracała; w czarnych

oczach mężczyzny, obok prośby, zaczął się znów przebijać wyraz podziwu i uwielbienia dla tej prześlicznej, czarem piękności jaśniejącej istoty.

— Czy wolno zapytać o nazwisko stryja pańskiego? – podjęła.

— Jakto? Pani go nie zna nawet? Tem więcej zawinił. Sądziłem, że stary pułkownik Dowburt nie obcy tu jest nikomu.

— Dowburt? Ach, tak, słyszałam o nim; ponieważ jednak w domu naszym nie bywa, nie spotkałam go dotąd.

— Pani pozwoli, że i swoje dodam nazwisko: Zygmunt Dowburt-Koniecki, synowiec tego zacnego w gruncie borsuka, któremu jednak dzisiejszego zachowania się nie przebaczę długo.

— Dlaczego? Stryj pański upominał się tylko o swoje prawa. Aby ich nie kwestjonować – dodała dumnie – nigdy tu już nie powrócę. Nigdy!

I, powiódłszy dokoła okiem suchem, błyszczącym, skinęła zimno głową, kierując się do odwrotu.

Zygmunt szybko zabiegł jej drogę.

— Nigdy! – mówił, gorącym obejmując ją wzrokiem – to wyraz zbyt smutny, abyśmy się z nim rozstać mieli. Czyż spotkanie dzisiejsze ma pozostać dla mnie wyrzutem tylko i wspomnieniem?

Zawahała się. Wielkie, szafirowe jej źrenice, ukryte w cieniu rzęs długich, podniosły się zwolna i spojrzały dokoła.

Świat był taki piękny, taki ponętny i w obietnice bogaty. Przepyszne słońce czerwcowe pełnym oblewało ich blaskiem, zachęcając do śmiechu, do wesela i życia. Ukojona obrazem tym, zwróciła wzrok na dorodną postać mężczyzny i głęboko, badawczo, w oczy mu spojrzała. Wyraz, jaki na dnie ich spostrzegła, musiał rozbroić ją do reszty; delikatne bowiem, śliczne jej rysy, zarumieniły się napowrót, a karminowe usta wyszeptały cichutko:

— Do widzenia.

* * *